

Relacja Waldemara Woźniaka

W 1976 r. pracowałem, jako robotnik w Zakładach Metalowych na Wydziale P-3. Robiliśmy tam raketnice. Były to rosyjskie urządzenia służące do sygnalizacji.

25 czerwca około godziny 7.30 na wydziale usłyszałem jakieś krzyki. Nie wiedziałem, o co chodzi. Pewien starszy facet, kolega z wydziału, zobaczył, że trzymam w ręku raketnicę i powiedział do mnie: "Waldek zostaw to, jest strajk". Nie bardzo się połapałem, o co chodzi. Wyszedłem na zewnątrz, ale tak ostrożnie, bo byłem namierzony po wyroku z 1970 r. i wiedziałem, że możliwe są różne rzeczy. Przed bramą stał tłum ludzi. Ulicą jechała chłodnia, bardzo wolno. Ludzie ją zobaczyli i rzucili się sprawdzać, czy w środku nie ma mięsa. Przewrócili ją. Otworzyli. Była pusta.

Jak już otworzona została brama, część poszła od razu do "blaszanki". Część miała jechać do Skarżyska, ale z tego co wiem, nie dojechała. Spory pochód poszedł w stronę "Radoskóru". Ktoś musiał być na przedzie, no i tak się stało, że byłem ja. Przeszliśmy ulicą Słowackiego i 1-Maja pod budynek lasów. Nie mówię "pod Komitet", bo budynek został zrabowany lasom przez PZPR. Maszerowaliśmy spokojnie, na skrzyżowaniach stali pojedynczy milicjanci i kierowali ruchem tak, żeby nie było jakiś komplikacji z samochodami.

W KW zamknięto przed nami drzwi. Wyszedł jakiś urzędnik i powiedział, że nie będą z nami rozmawiać, bo jest za mało ludzi. Za mała reprezentacja. Próbował przekonywać go mój kolega, Zdzisław Michalski, ale nic to nie dało. No to mówię: "Zdzichu, zostań tu, a ja idę po posiłki". Na myśli miałem Radomską Wytwórnę Telefonów, która znajdowała się w pobliżu. W międzyczasie był tam jeden chłopak i powiedział, że ludzie siedzą w środku i są zamknięci. Ja RWT dobrze znałem. Pracowałem tam kilka lat i wiedziałem, gdzie są wszystkie wejścia i kto gdzie pracuje. Michalski zgodził się poczekać, ale po chwili dogonił nas na wózku akumulatorowym.

Szliśmy, nawet spora grupa. Na słupach były pozatykane flagi, czerwone i biało-czerwone. Czerwone popaliliśmy, biało-czerwone wzięliśmy ze sobą. Kobiety zaczęły krzyczeć do babek stojących pod sklepami na Struga: "Chodźcie z nami!", a potem już trochę wulgarniej.

Pierwsza brama w RWT, od ulicy Struga, była zamknięta. Podeszedłem do strażnika, widzę, że ma kaburę odpiętą. Ktoś chciał przeskoczyć na drugą stronę. Uspokoilem go: on tu stoi, dostał taki rozkaz, niech stoi. Przecież mamy jeszcze drugą bramę! Bałem się, że odbierze mu broń i będzie nieszczęście.

Pomaszerowaliśmy na ul. Zbrowskiego, a tam już brama była otwarta. Za nią stał dyrektor i 6-7 osób z dyrekcji. Zaczęli krzyczeć, że nie są z nami. Ale ja poprowadziłem naszych do nowej hali. Powyłączaliśmy maszyny. Ktoś odepchnął jakąś kobietę. Podniósł się lament, że to wojna i tak dalej. Ale my się nie przejmowaliśmy.

(...) Razem z załogą RWT poszliśmy pod WCZ, potem pod ZREMB i rzeźnię. W ZREMB-ie nie trzeba było nikogo namawiać, ludzie czekali na nas. W rzeźni napór tłumu był tak wielki, że pękł stalowy łańcuch i brama się otworzyła. Musiałem nawet ochraniać swoją bratową, która była w ciąży. Słyszałem, że podobno wynoszono wtedy szynki i kielbasy, ale tego osobiście nie widziałem. My weszliśmy tam, żeby ludzi wziąć i wyjść, a nie żeby coś wynosić. Warto dodać, że w tłumie, który wtedy maszerował, bratowa rozpoznała funkcjonariusza milicji czy SB z Lipska. Nawet zawołała do niego, ale on się

przestraszył i uciekł. Dla mnie to był ważny sygnał. Nagle sobie zdałem sprawę, że w pochodzie mogą być tajniacy.

Pochód ruszył pod kościół Św. Trójcy. Na placu przed kościołem zatrzymały się autobusy MPK, kierowcy wysiedli i przyłączyli się do nas. Dalej maszerowaliśmy w górę Żeromskiego. To było coś imponującego! Mnóstwo ludzi, jeszcze nigdy w Radomiu nie widziałem tylu. 5 może 10 tysięcy, między innymi studenci z WSI. Nastrój jakiegoś podniecenia, piękna pogoda, śpiewy - ale nie jakieś wulgarne, tylko znane z meczów, typu: "my nie, my nie, my nigdy nie poddamy się". Na wysokości kawiarni "Teatralna" obejrzałem się do tyłu, tam jest perspektywa całej ulicy. Widać było morze ludzi, cała Żeromskiego maszerowała. Naprawdę - radosny przemarsz. Radość, że się tyle ludzi zgromadziło. (...)

Demonstracja szła w stronę komitetu, ale ja się z kolegą zorientowaliśmy się, że nasze wyjście z zakładu może spowodować zwolnienia, jeżeli tam, na miejscu, w "Walterze", szybko nie zablokujemy kar zegarowych. Bo przecież zbliżała się 15-ta, i mieliśmy obowiązek je poodbijać. Odłączyliśmy się we dwóch od grupy i pobiegliśmy na 1905 roku. Na wydziale zabraliśmy wszystkie karty i odbiliśmy je. To był ostatni moment, bo pracownica z biura już szła po nie. Byliśmy chyba jedynym wydziałem z zakładu, który tak tę sprawę załatwił. Opłacało się, było nas potem bardzo trudno pozwalniać.

Z "Waltera" wróciliśmy do centrum. Komitet już się palił. Był tłum, trudno się było przepchać. Na ulicy Niedziałkowskiego trafiłem na kolegę, Jerzego Paducha. Siedział na traktorze, miał usmarowane ręce ropą. Pytam go, co tak jesteś ubrudzony. A on: "Podpaliłem z chłopakami komitet. Siadaj ze mną na traktor, jeździmy tu dookoła". Mówiąc szczerze, uwierzyłem mu, wyglądało to na prawdę, ale o szczegóły nie pytałem. Paducha znałem jeszcze ze szkoły podstawowej, potem straciłem go z oczu. Po wydarzeniach był chyba karany, ale za drobne kradzieże. Raczej nie za podpalenie.

Z Niedziałkowskiego pobiegłem do domu na ul. Filtrową. Pochowałem dokumenty, przyszykowałem zamoczoną chusteczkę na wypadek, gdyby potraktowali nas gazem, i wróciłem pod Komitet. Po prostu nie wyobrażałem sobie, że mogę być w domu, gdy dzieją się takie rzeczy. Trzeba było opowiedzieć się po jednej ze stron i ja się opowiedziałem.

Na 1 Maja było mnóstwo milicji, jeździło pogotowie. No, więc postanowiliśmy odciąć im drogę pod KW. Na skrzyżowaniu z ulicą Struga, tuż koło apteki udało się zatrzymać ciężarowego "jelcza" z przyczepą na lubelskich numerach rejestracyjnych. Kazaliśmy kierowcy, żeby stanął w poprzek ulicy. Był przestraszony, nie wiedział co się dzieje, więc wyciągnęliśmy go z szoferki. Nie powinno tak być, ale trudno, było. Nie wiem, co się z tym kierowcą potem stało. Ciężarówka w każdym razie zamieniła się w barykadę, a my stworzyliśmy ekipę do jej obrony. Każdy chwycił w rękę, co się dało. Dosłownie, wrywaliśmy kamienie z muru, sam bym nie uwierzył, że człowiek ma tyle sił i takich rzeczy może dokonać. Rozbieraliśmy gołymi rękami solidny mur!

W pewnym momencie chwyciłem milicyjną raketnicę. Chciałem ją odrzucić, ale eksplodowała mi w rękę. Trochę zabolalo, przestałem widzieć, ale najgorsze było to, że z każdej dziurki - oczu, ust, nosa - zaczęło coś wypływać. Ślina, łzy. Człowiek zrobił się bezbronny. Ludzie zabrali mnie do bloku, słyszałem okrzyki: "Zabili go!". Po kilku minutach powoli doszedłem do siebie.

Wróciłem na ulicę. Na przystanku koło wodociągów, róg Wodnej i 1 Maja, stało się coś strasznego. Usłyszałem odgłos wystrzałów. Były to strzały z ostrej amunicji, wiem to z całą pewnością, pracowałem przecież w fabryce broni. W tej samej chwili przyjechał wózek. Na

nim była zakrwawiona szmata, pod nią zwłoki. Musieliśmy się trochę cofnąć, bo zaatakowała milicja, ale zaraz wróciłem w tamto miejsce (...)

Około godziny 18-ej rozeszła się pogłoska, że władza zawiesiła podwyżki. Postanowiłem wtedy iść do domu. Ale jeszcze wcześniej wybraliśmy się do centrum zobaczyć, co się tam dzieje. No i widok był tragiczny. Dom towarowy "Sezam" bez szyb, inne sklepy też. Przy ul. Focha jacyś młodzi chłopcy wynosili ze spożywczego wódkę, wino tokaj, ogórki i ustawiali to wszystko w szeregu na murku obok fontanny. Dyrygował nimi energiczny mężczyzna. Podobno komendant policji tłumaczył potem, że było to na polecenie milicji i że w butelkach była woda, tak, żeby ludzie się nie rozpijali. No, ale kto by się na taki numer dał nabrać. W butelkach musiała być prawdziwa wódka. Zresztą - jak wspominałem - stał tam i tokaj.

Z Focha ja i szwagier musieliśmy odprowadzić moją żonę - do tej pory chodziliśmy razem - do domu. Poczła się bardzo źle. Na ulicy Niedziałkowskiego zaatakowało ZOMO. Po drugiej stronie szła starsza kobieta w żałobie. Strzelili w nią z armatki wodnej. Uderzenie było straszne. Strumień wody wbił ją w mur i podniósł do góry. Dosłownie. Kobieta opadła bezwładnie na ziemię. Żona zaczęła się dusić. Zrobiło się z nią źle, myślałem nawet, że umrze. Na szczęście trafił przygodny mężczyzna i wspólnie wynieśliśmy ją za barykadę na Niedziałkowskiego. Potem już jakoś dostaliśmy się do domu.

Znowu poszedłem do centrum. Trwała tam już łapanka. Brali wszystkich, kogo się dało. A przecież można było rozróżnić tych, co byli rozgrzani walką. W parku milicja przewracała ławki i jak ktoś uciekał, to było łatwo go złapać. My też mogliśmy wpaść w pułapkę, ale ostrzegł nas taki starszy facet, schowany w krzakach. Także wycofaliśmy się niemal w ostatnim momencie.

Wróciłem szczęśliwie do domu. Tak się skończył dla mnie ten dzień.